

15 grudnia 2003 r.

Witam.

Od 11 lutego tego roku jestem matką trojga dzieci w wieku – obecnie – 4, 6 i 8 lat. Rozprawa adopcyjna jeszcze się nie odbyła i nie wiadomo, kiedy się odbędzie. W tej chwili prawnie jesteśmy rodziną zastępczą. Nie mam czasu napisać więcej, bo dziś miałam wigilijne uroczystości mojego Miśka w czterolatkach w przedszkolu, jutro mam Pawełka w sześciolatkach, w piątek Ani w II klasie szkoły podstawowej, a potem rozmowę z naszą panią psycholog o tym, jak reagować na rozmaite manipulacje Ani, na moczenie się Pawełka i na próby wymuszania uwagi przez Miśka (walnięcie się na podłogę i wielki ryk).

Wybaczcie moje piramidalne lenistwo (dotąd tylko czytałam, nic nie pisałam), bo Bocianowi zawdzięczam tak wiele... Zarówno podczas podejmowania decyzji o adopcji, jak i potem, gdy było i diabelnie trudno, i przepięknie prosto.

Od tych dziesięciu miesięcy wiem, jak ważny jest każdy przeżyty dzień, żadnego nie dało się w jakiś sposób opuścić.

Pozdrawiam. Iwona

PS. Dziś Pawełek po raz pierwszy (dotąd nie mówił o tamtym swoim życiu, oprócz tego, że było źle) zapytał mnie, dlaczego ja go nie urodziłam...

16 grudnia 2003 r.

Dzisiaj byłam w przedszkolu na Wigilii u Pawełka. Jejku! Pawełek odgrywający solówkę na wstępie przedstawienia, Pawełek śpiewający kolędę, Pawełek recytujący wierszyk, Pawełek ratujący sytuację, gdy koleżanka w ostatniej chwili stchórzyła i nie mogła wystąpić razem z nim w roli drugiego skowronka (on robił za dwa skowronki naraz), Pawełek

swobodnie rozmawiający z kolegami i rodzicami kolegów i koleżanek... Dziesięć miesięcy temu w opinii psychologicznej z DD miał napisane, że „trudno nawiązać kontakt”, w sytuacjach stresowych „ujawnia postawę lękową”, a w ogóle to „rozwój umysłowy dziecka kształtuje się znacznie poniżej wymagań wieku”. Oczywiście, że jeszcze mówi bardzo źle (logopeda trzy razy w tygodniu), ale jak mądrze mówi! Ech... w ogóle to puchłam z dumy!

Ania znów była niegrzeczna podczas zajęć w szkole i nie odrobiła lekcji. Wiem, że ostatnio robiliśmy duży błąd – za mało ją chwaliliśmy za to, co robiła dobrze. Oczywiście coś mówiliśmy: „świetnie to zrobiłaś, Aniu”, „bardzo ładnie to wyszło” itd., ale było w tym za mało emocji. Raczej przyjmowaliśmy to, co robiła dobrze za coś naturalnego, a co robiła źle, za coś, co wymaga reakcji negatywnej (cofnięcie jakiegoś przywileju, np. grania w grę komputerową – oczywiście okropnie dydaktyczną, ale i tak bardzo atrakcyjną). Kurcze, to się musi zmienić, i to zaraz. Ja się muszę zmienić (już się zmieniłam...).

Misiek oświadczył dziś, że jestem przytulna – po krótkiej dyskusji zgodziliśmy się, że on też jest przytulny, więc znakomicie do siebie pasujemy.

Zapomniałam napisać, że te najważniejsze pytania dzieci, np. o to, czy ja je urodziłam, padają niejako przełotem, w sytuacjach najmniej spodziewanych – podczas wieczornych buziaczków przed zgaszeniem światła, w momencie, gdy wchodzą do przedszkola, podczas obiadu, gdy akurat mówi się o tym, jak trzeba trzymać łyżkę. I każda odpowiedź zostaje przyjęta tak, jakby to była najmniej ważna rzecz na świecie, po czym następuje zmiana tematu. Przynajmniej w przypadku moich dzieci.

18 grudnia 2003 r.

Godz. 1.01.

Siedzę sobie z nosem nad klawiaturą, bo przysypiam, a muszę doczekać godziny drugiej. Muszę doczekać, bo Pawełek moczy się w nocy, a nasza pani psycholog doradziła nam spróbować zakłócić fazę snu głębokiego REM (albo jakoś tak). Mniej więcej chodzi o to – o ile dobrze zrozumiałam – że fazy snu, taka sinusoida, u dzieci moczających się są nieco inne niż u dzieci kontrolujących się, więc można spróbować je zmienić. Dotąd „wysiusiwałam” Pawła około północy, już wystarczyło, choć wcześniej budziliśmy go dwa razy nocą, drugi raz o piątej. No więc tydzień o północy, następny tydzień około pierwszej w nocy, następny około drugiej itd. Około pierwszej w nocy – dało rezultat, wytrzymał. Teraz ćwiczę siusianie Pawełka około drugiej w nocy. Czasem nie daje rady, już jest zsiusiany, więc przedłużam ten tydzień do czasu, gdy będzie wytrzymał. Gdy przyjdzie termin na trzecią w nocy, będę nastawiała budzik. Ech, już nie te czasy, gdy się spędzało przy komputerze całą noc, by potem spać do południa, jeśli nie było konieczności wstawania...

Do tego jeszcze muszę ładnie wyglądać, bo moje dzieci są na to bardzo czułe i natychmiast zauważają nowy strój, inne ubranie, inną fryzurę. Fryzurę już zmieniłam! W tamtym moim życiu nosiłam bardzo krótkie włosy, ale Ania od początku mnie prosiła, żebym miała dłuższe, więc teraz mam takie za ucho, z grzywką, a długie włosy – to takie, o jakich Ania sama marzy. Zapuszcza, zapuszcza, bo gdy przyszła do nas, miała włosy obcięte jak chłopak i wyglądała tak, jakby ją strzyżono kosiarką do trawy. Teraz ma zabawne kucyki, ale wciąż nie pozwala podciąć nawet samych końców, bo włosy muszą rosnać. Kurcze, mój mąż

woli mnie w tych krótkich, ale na razie wytrzymuje
– niech żyje dobro dziecka!

Która to godzina? Jeszcze czas.

Dziś dzieci – cała trójka – były na etapie rozmów o kochaniu. Każde przychodziło z tym osobno, widać były jakieś rozmowy między nimi, a przychodziły oczywiście w momencie, gdy usiłowałam przy komputerze stworzyć Bardzo Ważne Dokumenty Na Jutro – nie szkodzi, stworzyłam je później, bo jak nie przerwać w takim momencie...

– A jak mnie kochasz?

– Bardzo.

– Ale jak bardzo?

– Bardzo, bardzo, bardzo...

– A bo ja cię kocham noooo... (i tu następowały różne porównania).

Ania: „a ja cię jak stąd do Warszawy, ale sto razy bardziej”, Pawełek: „a ja cię jak za siedem gór i lasów”, Misiek: „a ja cię tak!” – omal mi nie zrobił siniaka na policzku przytulając się. W końcu po kolejnych licytacjach powolutku dochodziliśmy z każdym do wniosku: „a ja cię najbardziej na świecie!”, „a ja cię też najbardziej na świecie!”.

Poza tym robiliśmy łańcuchy na choinkę. Precz z wytwornymi choinkami ustrojonymi w jeden czy dwa kolory, wielkimi bombkami i sztucznym szronem! W tym roku, po raz pierwszy od dzieciństwa, będę miała choinkę upstrzoną kolorowymi papierkami, cukierkami, jabłuszkami i krzywymi wycinankami z błyszczącego papieru. Mam też schowane zimne ognie... Ciekawe, czy moje dzieci też – jak ja kiedyś – będą ze strachem pomieszany

z ekscytacją sprawdzały, czy naprawdę takie coś można wziąć do ręki i trzymać? Ech, lepiej niech to pottrzyma tato...

No i się rozgadałam.

Pozdrawiam.

Godz. 2.05.

Ups, znów nam się dziś z Pawełkiem nie udało.

Może jednak wrócić do siusiania o północy lub o pierwszej? Nie chcę, żeby czuł się źle (traktujemy to jak najbardziej normalnie, ale widać, że to przeżywa). Zmieniłiśmy piżamkę, prześcieradło i ceratkę. Buziaczek i spać.

Jutro na pewno się uda. Albo pojutrze.

W ogóle nie pamiętam szczegółów tych pierwszych tygodni, mówiłam wtedy, że każdy dzień to jak jazda na rowerze bez trzymanki. Łatwo jest uwieść dzieci popołudniami pełnymi wrażeń i samych rozrywek, ale teraz trzeba było rozpocząć wspólne życie. Wyjaśnić na nowo świat, zrozumieć, że straciły wszystko, co dotąd miały i rozumiały (jakikolwiek był dom rodzinny naszych dzieci, one go dobrze pamiętały, a poza DD był jedynym miejscem, które znały), opowiedzieć im nowe życie i sprawić, by w nie uwierzyły. No i samemu w to nowe życie uwierzyć.

Łatwo jest uwieść dzieci, zabierając je z domu dziecka do domu, w którym jest tyle atrakcji i wszyscy dbają tylko o to, żeby podczas tej wizyty było im dobrze. I zaraz uznać, że dzieci już cię kochają, bo chcą być z tobą. Trudno jest zacząć z dziećmi żyć zwykłym życiem, które składa się nie

tylko z atrakcji, bo okazuje się, że trzeba się uczyć literek, trzeba posprzątać zabawki, trzeba rano wstać, a przedtem wieczorem trzeba już się przestać wygłupiać i zasnąć, bo nagle ta zabawna nowa mama przestaje się tylko uśmiechać, a żąda spokoju, w imię jakiegoś zupełnie abstrakcyjnego jutrzejszego dnia, w którym trzeba wstać.

Ania kiedyś, na samym początku, powiedziała coś w tym sensie: „Ja mam tego dość! Wciąż mi tu coś każą i każą!”.

Doszłam do wniosku, że ze swojego punktu widzenia miała rację – w tamtym domu może i nie dawali jeść, pili i bili, ale nikt nie kazał rano wstawać i iść do szkoły (przeciwnie, do szkoły się szło, jeśli się wstało, a wstało się, jeśli się chciało, więc generalnie raczej się nie szło, a w ogóle kogo to obchodziło?), nikogo nie interesowały pory posiłków (he he), nikt nie uczył, jak trzymać widelec, nikt nie wymagał, żeby wobec drugiego człowieka zachowywać się grzecznie, nikt nie zmuszał do uczenia się zawiązywania butów, do wieczornego mycia zębów, nikogo nie obchodziło, czy masz szalik, a jeśli nie masz, to – proszę wróć i załóż, bo się przeziębisz.

A przecież musisz tego wszystkiego od swojego dziecka zacząć wymagać, by mogło żyć.

Dlatego właśnie w naszym przypadku najpierw jest wielka miłość od pierwszego wejrzenia, a potem zaczynają się schody.

Jedno, co mogę teraz napisać – dzieciom zostaje ODEBRANE wszystko, co dotychczas miały, a wszystko, co teraz dostają – zostaje DANE. One się z tym godzą prędzej czy później i nasze uczucia nie mają tu nic do rzeczy. To, co miały dotąd, jest znane i – choćby nie było akceptowane – jest znane i przyswojone. Reszta jest nowością i one nie wiedzą, czy to dla nich dobre, bo tego nie znają.

Matce naszych dzieci sąd odebrał prawa rodzicielskie, ojciec od dwóch lat nie żyje, ale śmiem przypuszczać, że gdyby żył, to też by się tak stało. Na początku baliśmy się, czy dzieci nie mają jakichś dodatkowych psychicznych obciążeń wynikających z psychicznego lub fizycznego znęcania się, molestowania seksualnego czy czegoś podobnego. Ale na szczęście nie. Ot, normalna, patologiczna rodzina.

Dzieci wprost z domu rodzinnego pojechały do szpitala na dożywianie, a stamtąd do DD. Najważniejsze było więc przekonać je, że to się więcej nie zdarzy. Zaczynałam więc od „bocianowej” bajki o tym, że gdy dzieci się rodzą, to gdzieś tam, daleko w niebie, tak na wszelki wypadek wyznaczani są „zapasowi rodzice”. I najczęściej ani dzieci o tym nie wiedzą, ani ci „zapasowi rodzice”. Ale zdarza się tak, że dzieje się coś złego i dzieci są nieszczęśliwe. Na przykład są w domu dziecka i tęsknią za rodzicami. I wtedy ci zapasowi rodzice zaczynają być niespokojni, czegoś im brakuje i powoli domyślają się, że są rodzicami i to znaczy, że gdzieś są ich dzieci. Zaczynają ich szukać...

I dlatego się zdarza, że niektóre dzieci mają dwie mamusie i dwóch tatusiów...

Ania miała na imię Andżelika i to nam, prawdę mówiąc, nieco zgrzytało w zębach. Zwłaszcza że jeśli chodzi o zagraniczne imię, to już bardziej pasowałoby do niej Pippi. Ułożyliśmy cały plan strategiczny, jak delikatnie ją namówić do zmiany, bez żadnych nacisków, bez urażania uczuć. Zaczęliśmy od pytania, jak zdrabniać imię, jak skracać, bo takie długie, bo chcielibyśmy... itd. Padały

różne propozycje. Nam najbardziej podobała się Anika, a to dlatego, że imię najprostsze – Ania – odpadało, jako że dorosła już córka Krzysia z pierwszego małżeństwa (entuzjastycznie zresztą popierała naszą decyzję o adopcji i była u nas podczas pierwszego spotkania z dziećmi), ma na imię właśnie Ania.

Nasze pierwsze podchody Ania przerwała już drugiego dnia, oświadczając stanowczo: „Mam na imię Andżelika Anna, możecie do mnie mówić Ania”. Tylko Ania, „Anka” powodowało straszliwą obrazę, „Anula” – znosiła z godnością, ale jednak się nie przyjęło. I tak Krzyś ma dwie córki o identycznym imieniu (stwierdził filozoficznie, że i tak imię Ania zawsze mu się najbardziej podobało).

Z Pawełkiem było dziwniej, bo miał na imię Darek. I szybko oświadczył, że on ma na imię Pawełek. Właśnie dokładnie Pawełek. Nie Paweł. Pawełek owszem, podobało nam się, ale nie widzieliśmy powodu, żeby każdemu dziecku zmieniać imię. Chyba przez miesiąc Pawełek funkcjonował pod dwoma imionami, ja się denerwowałam, że mi dziecko wpadnie w rozdwojenie jaźni, ale Darek pytany, jak ma na imię, odpowiadał niezmiennie: Pawełek. W końcu doprowadzany, czy na pewno ma na imię Pawełek, bo przecież gdy się poznaliśmy, to był Darkiem, odpowiedział z niechętnym machnięciem ręki: „Ja Pawełek, a Darek został o tam, daleko...”.

Misiek na szczęście nie wpadał na żadne koncepcje, pozostał Dominikiem.

Dzieci po prostu nie umiały bawić się zabawkami, jakie im na początek kupiliśmy (dobrze, że kupiliśmy niewiele,

żeby nie oszołomić ich ilością). Zachęcane oglądały ostrożnie samochody (np. cudny czerwony wóz strażacki), lalkę (taką zwykłą, ale z włosami i zamykanymi oczami), łatwe klocki lego (zupełny brak zainteresowania), książki, kolorowanki, kredki, farby – oglądały i... delikatnie odkładały „na miejsce”. W zasadzie chyba żadna z tych zabawek nigdy nie zyskała miana „moje”. Pozostały częścią wyposażenia. „Moje” były tylko te, które dostały później – od nas, cioc i wujków, od sióstr – czy też te kupowane wspólnie z nami.

Ich zabawy polegały głównie na bieganiu i wrzeszczeniu, tak że pękały ściany i bębunki. Pamiętam, że przez kilka pierwszych dni ukochaną zabawą chłopców było – poza ganiem się po pokoju – wjeżdżanie z rozpędu na dużym plastikowym samochodzie w ścianę. Drugiego dnia mój mąż wyłożył całą podłogę na piętrze specjalną, wyciszającą wykładziną. Trzeciego dnia urwała się konstrukcja półek z książkami na ścianie sąsiadującej z pokojem dzieci. Rumowisko było imponujące (całe szczęście, że nikogo nie było wtedy w pokoju, bo by nieźle oberwał – cała ściana książek plus deski leżała malowniczo na podłodze). Wezwanym dzieciom pokazałam, co się dzieje, gdy wjeżdża się samochodem w ścianę i poprosiłam o pomoc przy porządkowaniu i układaniu książek oraz zaproponowałam, żeby więcej tego nie robiły (prosiłam już wcześniej, ale nie docierało). I już nie robiły!

Cudowne ciche wieczory z malowaniem obrazków, czytaniem książek i graniem w domino przyszły dopiero później, gdy dzieci nauczyły się rysować (nie umiały, Pawełek nawet nie umiał trzymać kredki w ręku), słuchać (oj, trwało dosyć długo, zanim nauczyli się choć przez

chwile koncentrować uwagę na słuchaniu treści) i grać w jakąkolwiek grę (nie miały o tym zielonego pojęcia). Trzeba im było tylko czasu, cierpliwości i uwagi.

Najukochańszą jednak rozrywką była wówczas kąpiel. W wannie z pachnącą pianą. Mogły siedzieć w niej godzinami, na przemian okładając się pianą, rzucając w siebie gumowymi kaczkami, kolorowymi gąbkami i kłócąc się o miejsce.

Ania sprawowała niepodzielną władzę rodzicielską. Sprawowała ją w jedyny sposób, jaki знаła: krzycząc, wrzeszcząc, bijąc, kopiając, wyzywając, szczypiąc, rozdzielając jedzenie (chowane przedtem w łóżku), rozdzielając „po uważaniu” – czyli który z chłopców na co zasłużył. Ania decydowała, kto o czym mówi (podpowiadając, co który ma powiedzieć), decydując, kto co umie (ona umiała „wszystko”), decydując, co teraz mają robić, zabraniając tego, na co ona sama teraz nie miała ochoty, chroniąc chłopców przed tym, co ona uznawała za niebezpieczne.

Chłopcy buntowali się przeciwko temu bez przekonania. Nie zapomnę Miśka (wówczas lat trzy i pół), wyrzuczonego właśnie z ich pokoju przez Anię, który pod zamkniętymi drzwiami mówił (dostyc cicho, chyba po to, żeby Ania tego nie słyszała) cytując: (hmmm, pardonnez les mots) „kulwa twoja jeb... mać”. Pawełek siedział cicho, czasem płakał, spełniał polecenia i pokornie przyjmował razy.

Nie zapomnę wieczoru, gdy Pawełka bolał ząb. Dokładnie było tak: późnym wieczorem Ania oświadczyła, że bardzo ją boli ząb (dzieci miały mleczaki w strasznym stanie, potwornie bały się dentysty; Pawełek dostawał histerii, gdy siadał na fotel choćby tylko po to, żeby można było ocenić, jak wyglądają jego zęby, Ania zresztą

też. Misiek był dzielniejszy, ale i zęby miał w lepszym stanie). Pojechaliśmy z Anią do ciotki Lidki (gabinet świetnie wyposażony we wszystko, a specjalnie z okazji naszych dzieci Lidka sprowadziła jakieś cudowne „dziecinne” znieczulenia i wszystko, co można). Wróciliśmy, jakoś się udało. Ząb przestał boleć. Nocą Pawełek zaczął płakać i nie mógł przestać. Okazało się, że tak naprawdę to Pawełka od rana bolał ząb, ale się do tego – przynajmniej nam – nie przyznawał. Obudzona ciocia Lidka stawiała się w swoim gabinecie. Najpierw ja, a potem Krzysiek pólleżał obejmując Pawełka na fotelu, by pozwolił sobie zrobić coś z tym zębem. OK, no już, powinien przestać boleć w ciągu pół godziny. Również wykończeni wróciliśmy do domu. Po dwóch godzinach Lidka została obudzona po raz drugi. To nie ten ząb. I znów. Nad ranem poszliśmy wszyscy spać. I do dziś nie wiemy, czy Anię wtedy naprawdę bolał ząb. Według oceny Lidki, Anię mógł boleć, ale nie musiał. Natomiast Pawełka musiał boleć na pewno. I nie wiemy, czy może Ania uznała, że ona i jej ząb plus zainteresowanie nią rodziców jest najważniejsze, czy też usiłowała „przejąć” na siebie ból Pawełka i wizytę u dentysty, by jego przed tym uchronić?

Jedno było dla nas pewne: Ania była najważniejsza, Ania sprawowała rząd dusz i Anię trzeba się było zająć przede wszystkim.

A chcieliśmy się zająć wszystkim naraz. W codziennym biegu ustalaliśmy priorytety: pierwszy, główny i najważniejszy – zbudowanie poczucia bezpieczeństwa. Zdrowie. Co tam jeszcze? A prawda, przedszkole, szkoła, dzieci czują się źle, bo są w stosunku do innych dzieci opóźnione. Nauka. Stymulacja umysłowa. A miłość? No nie, najpierw miłość. Ale miłości się nie da zbudować bez

poczucia bezpieczeństwa. Więc Pierwszy i Najważniejszy:
poczucie bezpieczeństwa...

No i tak.

Najciężej było na początku odpowiadać na pytania
mojego męża:

– Czy ty już kochasz dzieci?

– Nie wiem – odpowiadałam zgodnie z prawdą.

Ale pewnego wieczoru odpowiedziałam:

– Nie wiem. Ale wiem, że gdyby ktoś chciał im zrobić
krzywdę, to rzuciłabym się z pazurami bez względu na
własne czy kogokolwiek bezpieczeństwo.

– No to już jest coś – uspokoił się trochę mąż.

Potem już nie odpowiadałam „nie wiem” – bo wie-
działam.

A mąż wciąż pytał, bo sam od czasu do czasu wpadał
w dziką panikę pt.: ja nie Kocham dzieci, więcej, one mnie
denerwują, ja chyba nie jestem dobrym człowiekiem,
owszem, czuję się za nie odpowiedzialny, nie dam im
zrobić krzywdy, ale to nie jest to... itd.

Spokojne tłumaczenia, że miłości do dzieci nie da się
włączyć jak odkurzacza, nie dawały rezultatów. Pierwszej
pomocy udzielił mój szwagier:

– Słuchaj stary, ile czasu jesteście razem z dziećmi?
Miesiąc? Już trzy? No to ja ci powiem, że moja Marynia
miała już dobrych dziewięć miesięcy, gdy złapałem się na
tym, że klepiąc się po udzie zawołałem do niej: „no chodź,
chodź do pana...”.

Zwinęliśmy się ze śmiechu i ataki paniki Krzysia na
razie się skończyły.

Aż nadszedł czas, gdy Krzyś wyjechał na kilka dni, a po powrocie jakoś tak cichutko wszedł do domu, dzieci bawiły się na górze i nic nie słyszały. Krzyś rozbierał się w przedpokoju i nagle z góry zbiegł Pawełek. Stał jak wryty, poczerwieniał, rozpromienił się i wyszeptał jak oczarowany: „Taaaatuś...”. I rzucił się na Krzysia. Za chwilę usłyszał to Dominik i zbiegał po schodach wyjąc jak radosna syrena strażacka: „Tato! Tato! Tato!”, a za nim Ania prawie płacząc, że jest ostatnia i tacie już brakuje rąk.

Gdy Krzyś uwolnił się już od buziaków i obłapian i zdołał usiąść w fotelu, powiedział:

– Sprzężenie zwrotne...

Nie wiedziałam, o czym mówi – coś z podróży? Coś w interesach? Coś trzeba zrobić teraz?

– O co chodzi?

– No wiesz – wyjaśnił z lekkim zakłopotaniem – jeśli one cię tak kochają, to jak można na to nie odpowiadać?

I tak w zasadzie skończyły się w naszym domu obawy i pytania: czy ty już kochasz dzieci...

Tak, pamiętają i wspominają „tamten dom”, „tamtą matkę”.

Ania na początku pobytu u nas – teraz też to się jeszcze czasem zdarza, ale już rzadko – przy każdej przyjemności opowiadała, że w „tamnym domu” miała tak samo. Dostawała jogurt – „w tamnym domu ZAWSZE dostawaliśmy jogurt, i jak byliśmy chorzy, i na każde śniadanie”; Krzyś urządził im plac zabaw z piaskownicą, domkiem, huśtawkami – „w tamnym domu TEŻ mieliśmy huśtawki w ogrodzie”; lubi swoją szkołę, ale nieco zazdrości chłopcom, że

mają fajne przedszkole – „w tamtym domu TEŻ chodziłam zawsze do przedszkola i było tak dużo zabawek” (nigdy nie chodziła do przedszkola), zobaczyła ciotkę, która rozwiązuje krzyżówkę – „a w tamtym domu mama TEŻ zawsze rozwiązywała krzyżówki”. Nie wiedziałam, jak reagować, w końcu to wszystko było ewidentną nieprawdą.

Ale potem zapowiedziałam w domu: dzieci muszą mieć swoją historię. I lepiej, jeśli to jest dobra historia, a nie zła. Jeśli Ania tak chce pamiętać, to niech tak pamięta. Wysłuchujemy, kiwamy dobrotliwie głową – i nie komentujemy.

Hm, co prawda do opowieści Ani wkradały się czasem jakieś koszmary, na przykład opowiedziane ze śmiechem, jakby to była zabawna anegdota: „A tamta mama, gdy ją pies zdenerwował, bo tam TEŻ mieliśmy psa, to mu wylała gorącą wodę na łeb!”. Ania kocha zwierzęta, po prostu nie wiedziała, co jest dobre, a co złe. I do nas należało ją tego nauczyć i wciąż uczyć.

Pawełek odwrotnie. O ile na początku o tamtym domu nie mówił nic, zupełnie nic, to w pewnym momencie zaczął mówić wyłącznie źle. Z brzydkim grymasem, złością i zaciętością w głosie. Zwykle coś zupełnie nie związanego z bieżącą sytuacją czy tematem rozmowy, po prostu stawał w miejscu i rzucał: „A tamta matka to mnie biła, że mi leciała krew i ja tak płakałem i płakałem!”, „W tamtym domu nigdy nie dawali jeść, tylko ukradaliśmy ze stołu!”, „Tylko pili i pili, wódkę! Ja też piłem wódkę! A dzieciom nie wolno!”.

Nie mogłam pozwolić, żeby karmił się samymi koszmarami. Brałam go na kolana i tłumaczyłam: „Pawełku, twoja tamta mama była chora na taką straszną chorobę, która nazywa się alkoholizm. Ta choroba powstaje od picia

wódki. Nie wiemy, dlaczego piła. Może nie mogła przestać. Może myślała, że to nic złego, a może nic nie myślała. Więc zachorowała. A ta choroba powoduje, że ludzie nie wiedzą, co robią. Czasem się biją, czasem biją dzieci. I wiesz, czasami zapominają nawet o tym, że mają dzieci i że dziećmi trzeba się opiekować. Więc tamta matka nie mogła się wami opiekować i dlatego poszliście do domu dziecka, żebyście mogli znaleźć nowych, własnych rodziców. Więc nie myśl tak bardzo źle o tamtej matce, to z powodu tej choroby. Tak się stało i nic już na to nie można było poradzić. Ale zobacz, teraz jesteśmy razem...”.

17 lutego 2004 r.

Jutro rozprawa adopcyjna.

Wszystko OK, tyle tylko, że tak bardzo NIE denerwuję się jutrzejszym dniem, że tracę na to całą energię.

A Ania dziś wyskoczyła z takim tekstem. Najpierw tryumfalne:

– A my jutro idziemy do sądu, a Dominik nie idzie, bo sąd nie jest dla takich małych dzieci jak Dominik!

Gdy już zdołałam wepchnąć z powrotem do gardła pierwsze, co mi oczywiście przyszło na myśl – że sąd w ogóle nie jest dla dzieci, i zanim zdołałam zareagować, Ania kontynuowała, ogłaszając w przestrzeń:

– I tam nas będą pytali, czy kochamy tatusia i mamusię i czy chcemy być z nimi, czy wolimy mieć innego tatusia i inną mamusię!

I tak, zanim to (czyli ewentualność takiego pytania) się stało, spełniły się najczarniejsze obawy. Nie mam pojęcia, skąd ona to wzięła. Obowiązujący w domu scenariusz

– sąd: miejsce, gdzie są bardzo mądrzy ludzie, którzy rozsądzają, gdy inni o coś się kłócą i sami nie mogą się pogodzić; miejsce, gdzie złych ludzi spotyka kara za to co zrobili. Ale my nie idziemy do takich sądów, tylko do innego – takiego, który pomaga takim rodzinom jak nasza i daje odpowiednie Bardzo Ważne Dokumenty. Tu wyjaśnianie ze starannym omijaniem tego, że wcześniejsza sytuacja była tymczasowa i podkreślanie, że aby dostać takie Dokumenty, trzeba odpowiadać na różne pytania i oczywiście jak zawsze mówić prawdę.

Więc skąd Ania wzięła taką interpretację?

Może mi się tylko wydawało, że wściekając się (np. telefonicznie) na wezwanie dzieci do wysłuchania, robiłam to tylko pod ich nieobecność w domu lub zamykając się w najostatniejszej łazience, tak żeby dzieliło mnie od nich co najmniej troje drzwi?

Może coś usłyszała od kogoś poza domem?

Może, może, może.

Może powinnam się cieszyć, że Anię najwyraźniej już nie zdziwi nawet najbardziej niefortunne pytanie, zadane przez sędziego lub ławników. Bo Pawełek znów zapytał tylko: „a co to jest sąd?”, choć już mu to tłumaczyłam, więc najwyraźniej nie przywiązuje do tego żadnej wagi i niczego nie rozumie. Ma iść, to pójdzie, na pewno ciesząc się na wspólne wyjście.

Już przestaję na ten temat, zanim mnie szlag trafi.

Przypomnijcie mi tylko, gdy będzie już po wszystkim, że obiecałam sobie generalnie nie odpuścić sprawy stosowania tego przepisu o wysłuchaniu dzieci (lub w ogóle jego brzmienia), by nikt, a przynajmniej jak najmniej osób, nie zmagало się z czymś takim jak my, OK?

Pozdrawiam i – aby do jutra po południu